

Franciszek Śnieżek, sybirak i ostatni żyjący żołnierz Armii Krajowej z Weryni opowiedział nam o podziemiu i swojej rosyjskiej odyssey

Żebyś nie zakrwawił podłogi

Pan Franciszek należy do pokolenia, które wydaje się niezniszczalne. Na pierwszy rzut oka trudno byłoby zgadnąć, że ten człowiek o bystrym umyśle i energicznym uścisku dłoni ma już prawie dziewięćdziesiąt lat i że ma za sobą tyle dramatycznych przeżyć.

- Złożyłem przysięgę w Związku Walki Zbrojnej w 1940 roku – mówi zapytany o początek konspiracyjnej działalności. - Przysięgę składałem przed porucznikiem Józefem Batorem. Hrabia potrzebował zaprzysiężonego furmana. Ja byłem na miejscu ogrodnikiem, a Józef Batoro to był znajomy człowiek, sąsiad. Przyszł do mnie i mówi: Franek, koniec zabawy. Jest tak i taka sprawa. Chcesz być w podziemiu? Wy tłumaczaj mi, co to jest podziemie. Powiedziałam: tak – rozpoczyna swoją opowieść. Od tego „tak” zaczęło się wplatanie mojego rozmówcy w wielką historię.

Konspiracyjna codzienność

- Po co hrabiemu Tyszkiewiczowi był furman-konspirator? - Jeżeli hrabia wyjeżdżał gdzieś w sprawach organizacyjnych, jechałem z nim – tłumaczy weteran. - Jeżeli miałem jechać, przychodził chłopak z palacu i mówił, żebym przyszedł. Hrabia przychodził i mówił: „Jedziemy o dziesiątej”. Nie wiedziałem nigdy, czy pojedziemy do Miłca, Nowej Dęby czy Sokolowa. Hrabia mówił dopiero jak wsiadał – wspomina. Jak mówi, zasady konspiracji zachowywano były w czasie takich wyjazdów bardzo ściśle. - W Rzeszowie, w willi w Lwicy były narady organizacyjne. Ale nigdy do Lwicy nie dojeżdżałem. Hrabia wsiadał przecznicę przed willą albo gdzieś z boku. Ja jechałem na staronieście, do majątku siostry hrabiego, konie dawałem do stajni. Jak przychodził czas, jechałem w umówione miejsce i wracałiśmy. Nigdy jednak nie wiedziałem, z kim i po co hrabia się spotyka. Odbywanie tych wypraw to nie był jedyń obowiązek pana Franciszka. - U mnie kończyła się gazetka konspiracyjna. Szła przez całą wieś, a ja ją dostawałem na końcu i niszczyłem. Mój rozmówca ukrywał też broń. - Gdy ktoś przywoził amunicję czy broń, to szła do mnie do ogrodu, stamtąd dopiero do zarządzającej majątku. Jeżeli oddział gdzieś szedł, drużyna dostawała broń i robiła swoją robotę, potem ta broń wracała do magazynu – wspomina.

Tajemniczy gość

- Przyjechał taki gość z poznańskiego w 1942 roku. Hrabia go przyprowadził i mówi: „Masz tu pomocnika, to jest



Weterani AK w Warszawie. Franciszek Śnieżek pierwszy z prawej.

Jan”. Ale kto ten Jan jest? Nikt nie wie. Oni wiedzą, ale ja nie wiem – wspomina żołnierz. Przybysz od samego początku wydawał się nietypowy. - Pięknie pisał. Każesz mu pniak wykopać, to wykopie, tak jak się powinno wykopać. Co wziął do łapy, to robił to normalnie, jak ten, co to robi od zawsze. Jak mówił pan Franciszek, tajemniczy Jan wykazywał się też bardzo niezwykłymi umiejętnościami. - Mieszkam z tym Janem – snuje dalej opowieść.

- Jednego razu miałem gazetkę, jego nie było, przeczytałem, żeby ją zniszczyć wsadziłem pod blachę do pieca i poszedłem spać. Ten przyszedł i czuje swąd papieru. Itano mówi tak: „Słuchaj, jak masz gazetkę i nie chcesz mi dać przeczytać, to waż później paki i rozbił popiół”. Przynosił kawalek szkła, polewa wodą i kładzie na popiół. Podnosi, a tam wszystkie litery widać. Papier się spalił, ale grafit nie. Spalona, a przeczytał. Skóra mi siętępla – wspomina. To nie jedyń raz, kiedy nietypowe talenty niepokoiły konspiratora. - Jednego razu robimy w pomidorach i mówi: „Przynieś ten karabin, wycyścimy go, nauczę cię, jak to się robi”. Nie odpowiedziałem nic, bo co było odpowiedzieć? Było w magazynie 40 okien położonych jedno na drugim, czwarte od góry było wybite i tam był ten karabin. Jak on go znalazł? Po co tam zaglądał? - dziwi się mój rozmówca. Udala mu się jednak poznać tożsamość swojego gościa. Leopold Chmielecki, bo tak naprawdę nazywał się ów Jan. Był porucznikiem polskiego wywiadu. - Tak owinął sobie Halickiego (dowodzący granatowej policji w Kolbuszowej-przyp. red) wokół palca. Że mu rowerku pożyczal, dostał nawet taki papier, na który mógł kogoś aresztować – wspomina pan Franciszek. Obaj akowcy przeszli razem przez więzienia UB i lagry w Rosji. - Potem pisał do mnie dwa listy, ale ja mu na żaden nie odpi-

sałem, nie mogłem. Wszystkie moje listy były kontrolowane.

Za kratami

Aresztowanie przyszło niespodziewanie. Po przyjeździe Armii Czerwonej zaczęły się przygotowania do reformy rolnej, które miały być parcelowane. Pewnego wieczoru umówił się po pracy na karty. - Podprowadzał mnie kolega. W polowie drogi zaczął mówić, że jego matka została sama w domu, więc chce zawrócić. Poszedł. Przychodzą na miejsce i słyszę nagłe: „Ręce do góry!” Wepchnęli mnie do domu, tam już było siedmiu zlapanych. Weryński konspirator został aresztowany przez Tomasza Wiśniewskiego, znanego funkcjonariusza komunistycznego. - Przyszłem do domu po dowód osobisty, ale zanim znalazłem dowód, ubrałem kubrak z kożucha, a na to kurteczkę. To mnie potem dużo poratowało – wspomina. Żona pana Franciszka była wtedy w zaawansowanej ciąży, trzy tygodnie po jego aresztowaniu urodziła. - Ona placza, a Wiśniewski „Nie trzeba się było k... p...ć”. Poszła później mnie szukać, aresztowali ją. Zamykają ją na milicji, w piwnicy, jakieś starsze panie pytają: „Co wy robicie?” A oni: „Będzie tutaj k... rodzić” – mówi weteran.

Jak się okazało, aresztowano wszystkich żołnierzy AK z Weryni. Pierwszym etapem w ich tulacze było więzienie w Kolbuszowej, w którym obecnie mieści się przedszkole na ul. Obrońców Pokoju. - Cele były takie, że trzeba było głowę przekrzywić, żeby się położyć. A dziennie tłucho się półtora tyśiąca wszy – mówi o panujących tam warunkach. Kolejnym był zamek w Rzeszowie, w którym prowadzono przesłuchania. Pan Franciszek opowiada o jednym z oprawców: - Przesłuchiwał, dawał międnicę przesłuchiwanemu i mówił: „Żebyś sk... synu nie zafarbił podłogi, jak będzie ci krew z mordy szła”. Jak

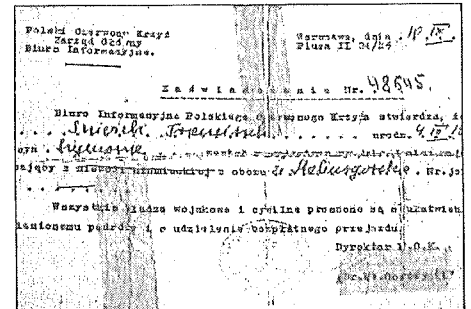
mówi, przetrwać tamten czas pomagała solidarność między ludźmi. - Inteligencja przedwojenna tak tego szarego człowieka wspomagała, żeby on nie miał czasu myśleć, że siedzi i co się z nim może stać. Lekarz mówił z medycyny, leśnik mówił z leśnictwa i to w kółko – wspomina. Dodaje też, że sporą pomocą była modlitwa. - Który szedł na przesłuchanie, to o którejkolwiek godzinie by nie szedł, wszyscy kłękali i się modlili za niego, żeby on to wytrzymał.

Na nieludzkiej ziemi

- W Rzeszowie przejęło nas NKWD. Zawieźli nas do koźar w Przemysłu. Tam byliśmy krótko, trzy dni. Tam załadowali nas na bydłecze wagony i do Rosji. Jechaliśmy 14 dni na mrozie – mój rozmówca z pewną trudnością opowiada o wywóźce do Rosji. Wspomnienia po ponad sześćdziesięciu latach nadal są bolesne. - Dojechaliśmy na miejsce. Wyrzucili nas z wagonów i położyli na śniegu. Liczyli. Jeden wartownik liczył z prawej, drugi z lewej. Przeszli raz – nie zgodzą się. Idą drugi. A tam nas było półtora tyśiąca chłopca, a ruszyć się nie wolno, bo zastrzelą. Ręce miałem odmrózzone ze wszystkim i nos. Do tej pory prawą ręką nie piszę. Skóra schodziła jak rękawiczka – wspomina pierwsze chwile na nieludzkiej ziemi. - Dotarliśmy do obozu. Tam była przebiórka, młoda lekarka robiła selekcję. Przychodzę zobaczyła do pasa, ona mówi: „Twoja matka chorowała na gruźlicę?” „Jak to?” - zdziwiłem się. A ona jak na mnie nie spojrzę: „Mów!” Przyszłem do siebie, zorientowałem się, że chce mi pomóc. Mówię: „Moja matka umarła na suchoty i siostra choruje” - wspomina pan Franciszek. Możliwe, że lekarka uratowała mu życie. - Zostałem w tym obozie, na powierchni, nie poszedłem do kopalni – tłumaczy. Lekarz pomógł mu też w następnym lagrze. - Przyszli-

śmy na drugi obóz, tam był lekarz z Kolbuszowej, niejaki Własnowolski. Bada nas wszystkich po kolei. I każdego się strzyże na całym ciele. Własnowolski pyta: „Umiesz strzyż?” „Umieję”. Bierz maszynkę i strzyż – mówi. Weryński akowicz został już zatrudniony przy tym strzyżeniu. Inni więźniowie codziennie chodzili kilkanaście kilometrów do pracy, budowali lagry dla następnych tyśiący zesłańców. - Taka kapusta, jaką się dla bydła kłisło – taką kapustę dawali do zupy. Smród był niesamowity, czerwona – tak zapamiętał warunki panujące w obozie weteran. Jak można było przeżyć obóz? - Dla chłopaka, który już od dziesiątego roku życia pracował na chlebie, to było łatwiejsze. Trzeba było umieć ukraść. Podnieść, ugotować – tam trzeba było wszystko umieć zrobić – odpowiada pan Franciszek. Poza trudnymi warunkami były sybirak zapamiętał też solidarność mieszkanców naszego regionu, których los rzucił do obozów koncentracyjnych. - Rzeszowiacy w domu są może zadornia, ale w niewoli nie ma ludzi nad nich. Trzynastu nas było rzeszowia-

tluc gruź. Nie wiemy, po co. Przyjeżdża komisja i mówi: „Rebiata, siowodnia jedzcie domof”. Konwój z psami, gonią nas, z tyłu furmanki wiozą tych, co nie mogą chodzić. Ładują nas do wagonów, po osiemdziesięciu. Jak mówi pan Franciszek, Rosję więźniowie opuszczali w nieco tylko lepszych warunkach niż do niej wyjeżdżali. - W tych wagonach już były przycy. W nocy pociąg rusza, jedziemy, ale nie wiemy, gdzie. Dopiero gdy słońce wstaje, widzimy, w którym kierunku jedziemy. Wreszcie mój rozmówca i pozostali więźniowie dotarli do Polski. - Brudni, zawszeni, u pasa menażka – taka menażka to był majątek, w niej się jadło, gotowało, nie myło jej się nigdy – tak pan Franciszek zapamiętał siebie i swoich kolegów w tych dniach. - W Białymstoku idziemy do knajpy na obiad. Zachodzimy, to był dzień jarmarczny, handlarze koni siedzą, piją wódkę, targują się. Jak weszliśmy, zapadła cisza. Kolega zdjął czapkę, powiada – panowie, pomóżcie, chcemy zjeść obiad – wspomina pierwszy dzień w niewoli nie ma ludzi nad nich. Trzynastu nas było rzeszowia-



Dokument Czerwonego Krzyża zwaludczający, że jego posiadacz wraca z obozu koncentracyjnego.

ków w transporcie i wszyscy wróciliśmy – zaznacza. - Miałem kolegę z Wólki Niedzwiedzkiej. Poróżniliśmy się w Kolbuszowej. Spaliśmy razem w celi i on był trochę niższy. Jego nogi sięgały mi do piersi, a moje jemu pod sam nos, a nie myśliśmy się od dwóch tygodni. „To moja wina, że urosłem?” mówiłem. Znalazł mnie w obozie. „Patr, jacy my głupi byliśmy” mówił. Jest Wielka Niedziela. Ten mój kolega gdzieś tam kupił jajko i kawalek chleba. Mówi: „Jest Wielka Niedziela, ja się tą połówką jaja nie najem, podzielimy się”. Przyśięgliśmy sobie, że się będziemy co roku w Wielką Niedzielę spotykać. Do tej pory odwołujemy jego grób – opowiada pan Franciszek.

Długa droga do domu

Po jedenastu miesiącach obozu przyszło wyzwolenie. - Wyprowadzają wszystkich za bramę do roboty, a my zostajemy, dają nam młotki i każą

nie przyjąć pieniędzy. „Dziękuję Bogu, że nie byłem między wami!” - tak powiedział. Podróż mojego rozmówcy i współtowarzyszy niedoli skończyła się w Warszawie. Stamtąd wrócisz trafił do domu. Nie oznaczało to jednak końca kłopotów. - Zaczęły się przesładowania. Przez trzy lata miałem kuratora z UB, który przychodził do mnie dwa razy w tygodniu. „Co słychać na wsi?” - pytał. Ja mówił, że nie wiem. Jak nie wiesz, jak wczoraj chodźłeś po wsi? W końcu doszło do tego, że musiałem cały czas w domu siedzieć – opowiada sybirak. Musiało upłynąć jeszcze dużo czasu zanim status byлого więźnia lagru i działacza podziemia przestał być dla niego przeszkodą w życiu. Zapytany o to, jak udało mu się wszystko przeżyć kierując rękę ku górze. - PanieBoze, ratuj – odpowiada.

Janusz Radwański